

Nigdy nie marzyłam o wyjeździe do Indii

21 kwietnia 2010

Zawsze miałam głęboką potrzebę poznawania innych światów niż Polska, w której panuje jedno wyznanie, jeden język, a ludzie wyglądają raczej podobnie.

Z tego powodu chwilami czułam, że mój horyzont zawęża się. Zwłaszcza, gdy przez dłuższy czas nie miałam okazji wyjechać za granicę, choć do tej pory moje wyjazdy ograniczały się do krótkich wycieczek po Europie. Brakowało mi wielości, różnorodności, jakiej dostarczają podróże. Miałam wrażenie przesiąknięcia tą homogenicznością, chociaż w żaden sposób nie utożsamiałam się z nią.

Na III roku studiów psychologii klinicznej zaczęłam poszukiwać możliwości wyjazdu na stypendium lub praktyki. Pewnego dnia natknęłam się na informacje o AIESECu (organizacja studencka), który poszukiwał chętnych do pracy w Chandigarh, w Północnych Indiach. Tym sposobem rozpoczęłam proces rekrutacji do udziału w Programie Międzynarodowej Wymiany Praktyk (www.aiesec.pl). Składał się z testu z wiedzy ogólnej, testu językowego, rozmowy i seminarium wyjazdowego przygotowującego do pracy za granicą.

Kiedy już formalności stało się zadość i decyzja co do mojej pracy została podjęta, był koniec maja, a ja za miesiąc miałam zacząć pracę w Indiach. Brzmiało to niezwykle podniecająco i egzotycznie. Pozostały czas spędziłam w wielkim ferworze zaliczania kolejnych egzaminów, załatwiania urlopu dziekańskiego, szczepień, wizy, biletu lotniczego i co najważniejsze funduszy. Udało mi się uzyskać refundację połowy kosztów biletu lotniczego z uczelni. Fundacja, w której pracowałam jako wolontariusz zwróciła mi także koszty szczepień.

Dokładnie w tydzień po ostatnim egzaminie wyleciałam do New Delhi. Samolot unosił się w chmurach, w łuku bagażowym znajdowało się 20 kilogramów mojego życia, a do mnie zaczęło docierać, że naprawdę wyjeżdżam. Zdążyłam się, co nie co dowiedzieć o kulturze Indii w międzyczasie, ale nadal nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak będzie wyglądało moje życie na miejscu. Jak się później okazało moja wiedza i wyobrażenia były tylko ułamkiem tego, co miało mnie spotkać przez rok w Indiach. Póki co przepełniała mnie wszechogarniająca ekscytacja. W trzy dni po wylądowaniu moje serce zaczęło spokojniej bić. Wciąż wchłaniałam otaczający mnie świat, jak dziecko z szeroko rozwartymi oczyma i rozdziawioną buzią.

Zaczęłam pracę w Vivek High School, prywatnej szkole, do której uczęszczały dzieci od 2 do 18 roku życia. Kompleksowe wychowanie, można powiedzieć. Ja głównie zajmowałam się uczniami od IV do VIII klasy prowadząc indywidualne sesje specjalnego nauczania dla dzieci z dysleksją, dysgrafią i tym podobnymi trudnościami. Opiekowałam się także dziećmi, których problemy behawioralne i emocjonalne wpływały negatywnie na postępy w nauce. Spotykałam się z rodzicami próbując wspólnie z nimi dojść źródeł kłopotów ich pociech. Niestety nie zawsze byli świadomi, jak wielki wpływ mają na życie swoich dzieci. Czasem po prostu chcieli, aby dobrze się uczyły i przynosiły dumę rodzinie. Moim zadaniem były również regularne wizyty w przyszkolnym internacie, którego mali mieszkańcy potrzebowali szczególnego zainteresowania. Czasem przeżywali bardzo trudne chwile z dala od domu, swojego rodzeństwa i najbliższego otoczenia. Wiele z tych dzieci miało problemy z angielskim, ponieważ w ich domach nie był on wcale używany. Te braki przekładały się na umiejętność przyswajania wiedzy z innych przedmiotów, nauczanych w języku angielskim. Zdarzało się, że dzieci po prostu nie rozumiały określonych terminów, np. z geografii, więc nie mogły odpowiadać prawidłowo na pytania. Tym sposobem razem z moimi uczniami nauczyłam się dużo historii i geografii Indii. Spędziliśmy wiele wieczorów ucząc się jogi, salsy i podróżując palcem po mapie, dosłownie i w

przenośni.

Należałam do tzw. Counselling Department, którego zadaniem było rozwiązywanie i zapobieganie wszelkim problemom psychologiczno-społecznym uczniów. Organizowaliśmy spotkania nauczycieli z rodzicami, podczas których były omawiane najistotniejsze kwestie dotyczące danej grupy wiekowej, a także bieżące sprawy. Uświadamialiśmy nauczycieli, czym jest dysleksja i jak powinno się nauczać dzieci z tą dolegliwością. Przeprowadziliśmy warsztaty dla nauczycieli, omawiające poszczególne etapy rozwoju dziecka w aspekcie emocjonalnym, intelektualnym i społecznym. Pracy było wiele, a ja nie nadążałam z raportami.

Mimo tego natłoku zajęć, dość szybko po rozpoczęciu pracy zainicjowałam projekt Cycle of Recycle, mający przede wszystkim na celu rozpowszechnienie idei recyklingu wśród uczniów, rodziców, a później mieszkańców Chandigarh. Szkoła posiadała pracownię z ręcznie obsługiwanymi maszynami do wytwarzania papieru z makulatury i skrawków materiału. Odbывały się regularne zajęcia, podczas których powstawały arkusze papieru, z nich koperty i zaproszenia na liczne imprezy szkolne. W pracowni plastycznej były one ręcznie malowane i ozdabiane. Podczas zajęć kółka ekologicznego, z wydawałoby się niepotrzebnych odpadów, powstawały koperty, torby, świece i ozdobne drobiazgi.

Miałam nadzieję zachęcić uczniów do zbierania makulatury i nie tylko, zarówno w szkole, jak i w domu. Powstały specjalne pojemniki na papier, metal i plastik. Przed szkołą stał zestaw dużych pojemników na odpady przywożone z domu. Odbыл się konkurs na najpiękniejszy, najbardziej przyjazny środowisku klasowy kosz. Po tygodniu powstała wystawa koszu na śmieci – małych dzieł sztuki.

Miejscowa organizacja zajmująca się promocją Chandigarh wśród turystów i przyjezdnych, zaproponowała szkole współpracę. W ramach projektu uczniowie stworzyli z makulatury foldery na

dokumenty, zakładki do książek i podstawki do szklanek z charakterystycznymi wizerunkami Chandigarh. Zostały sprzedane jako gadżety promocyjne, a uczniowie zarobili swoje pierwsze pieniądze.

Miałam także okazję wyjeżdżać w trakcie weekendów czy przerw świątecznych, zwiedziłam dużą część Płn. Indii, Taj Mahal, Dżajpur, Puri i kilka innych mistycznych miejsc. Podróżowałam z innymi praktykantami lub hinduskimi znajomymi, albo po prostu z ulubioną lekturą turystów, przewodnikiem Lonely Planet. Mój czas w Indiach był równie zajęty jak w Polsce. Pracowałam czasami od 7 rano do 17-18, podróżowałam, uczyłam się jogi, salsy i poruszałam na co dzień rowerem. Aczkolwiek ilość wyzwań, jakie przede mną stawały niemalże każdego dnia, sprawiła, że przeżyłam w Indiach tyle, co w ciągu 5 lat w Polsce. Przywiozłam ze sobą setki zdjęć, moja skrzynka mailowa była wciąż pełna. Do tej pory utrzymuję kontakt z osobami, które poznałam czasem zupełnie przypadkowo, przelotnie. To cudowne uczucie, wiedzieć, że gdzieś daleko w Argentynie, Kenii czy Indiach są osoby, które przyjmą mnie z otwartymi ramionami.

Gra w bingo na pieniądze w licznym gronie bogatych kobiet udekorowanych w sari i "tony" złota, gościna na kilku jakże barwnych i różnorodnych weselach hinduistów i sikhów, sylwestrowy wieczór w domu induskiej rodziny, z którą wspólnie oglądałam wielki bollywoodzki hit "Khabhi Khushi Khabhi Gham" (Czasem słońce, czasem deszcz), jazda konna na himalajski China Peak (2611 m n.p.m.), wycieczka jeepem po Corbet Tiger Reserve w poszukiwaniu tygrysów, kąpiel w Zatoce Bengalskiej... i tak mogłabym wymieniać bez końca.

Autor: Zoja Sławińska

Źródło: [Pomagamy](#)